

TOMASZ WAŻNY
GODZINA WYCHOWAWCZA

wydawnictwoj *** Wrocław 2018

LONT

Sam zobaczysz, charczał, krztusząc flegmę.
Gładził włosy szczerbatym grzebieniem,
świszczał radiowe melodie przez chore zęby.
Lustro w korytarzu (rama jego portretu)
- codzienne ryzyko pojedynku.

Schodził, trzymając w dłoni gołębia.
Właśnie wtedy działały się te męskie sprawy
między nami - w ciszy, jak na OIOM-ie.
Tylko mężczyźni potrafią tak milczeć
- pełnymi zdaniami, muśnięciem kciuka.

Wyrzucił go do góry, pustą garść confetti.
Ptak machał skrzydłami w miejscu. Gasł
w nim źle odpalony lont. To ten, mówił,
omiatając językiem obolałe dziąsła.
Wtedy był moją ulubioną utopią.

Wilgotne, szaro-białe gówno na kufajce,
kredowy pył, który strącał pod wieczór.
W mieście nie ma nawet swojej ulubionej jawy
(gołębie nie potrafią żyć na szóstym piętrze).
Te męskie sprawy między nami wygasają.

Łebki sierpówek nieruchomieją. Błysk
żyłetki w wodzie, w szkle, w żrenicy.
Pieprzyk, ścieg krwi. Sam widzisz, charczy
siostra, ścierając okruchy chleba z jego ust.
Strąca je do zlewu – garść zużytego confetti.

UMOWNOŚĆ

Z tego morza wychodziła muzyka.
Promienie słońca padały w nacięcia
między falami zsiniałymi jak twarze
palaczy, którym wyświetlono
istotę cienia na zdjęciu.

Miejsce bez nazwy.
Nikt nigdy nie znalazł
dostatecznie samotnego słowa. (Szelest?).
Szelest szczelnie przepełniał powietrze.
Wiatr zebrał puszki, liście, szkło okolicy.

Głos sprzedawcy pączków
wciąż zastygał w połowie drogi.
Teraz słyszę go wyraźniej: czkanie głosek
treliującego głuszca. Jego białe oczy
szperają w mojej pamięci.

Z głosu wymyka się dziecko.
Porzucone jak przerwany wiersz.
Widzę je i szukam słów do tego listu.
Dźwięki zabawkowej marimby wiją gniazda
w mokrych włosach plażowiczów.

Przez chwilę jestem cudzą bliskością.
Uścisk drobnej dłoni, głośny i pachnący.
Mewy pod niebem, przypięte szpilkami.
Dotknąłem jednej. Strzepnęła z siebie
śnieg i wszystko wokół.

KOMPAS

Pociąg spadł w dolinę. Obraz pruskiego domu
buchnął nam przed oczami. Płomień zapalki.
Stacja poczerniała od deszczu i kruczych piór.
Dym palonego drewna, żywica na palcach.

Odwróciliśmy głowy w stronę rozlanej rzeki.
Pochłonęła najmłodsze troje z pięciorga w rok.
Łód kruszał nagle, zaczajony tylko na nie.
W Wigilię zdjęliśmy krucyfiks i święty obrazek.

Na gnoju za kurnikiem było im w sam raz.
Kurze dzioby otworzyły źrenice świętej parze.
Matka klęła przez tlenową maskę, skrzeczała,
że już nic nigdy nie urodzi się w tym domu.

Przedrzeźnianie kukulek przez cztery spusty.
Trzy dni czekaliśmy na wyzwolenie w karze.
Potem nastał spokój i życie zupełnie wbrew,
koniec czasu zdążył nastąpić na zapas.

Kościelna iglica odbija słońce, wskazując
właściwy kierunek; dach pruskiego domu
tkwi w naszych oczach, odłamek pod skórą.
Wracają, wracają, niesie się zza lepkich szyb.

Krucze pióro na progu. Za drzwiami imiona
wyrzucane w powietrze całkiem nadaremnie.
Dotykamy jej ust, oczu czarnych od deszczu.
W płamie moczu lśni lód, topniejący krzyk.

SONATKA

(Mirela Pločič wie, że jej deda
potrafi sobie dużo wyobrazić)

Pora roztopów.

Miarowe *marcato* w skroniach.

Rankiem uchylasz usta do świata.

Rankiem świat zapada się w miejsca po nas.

Nawet koty milkną. Jest wisielczo.

Całą noc kruszyłam grudki lodu w oczach.

Składasz kciuki na powiekach i malejesz.

Ziemia chce ciebie dotykać aż po skowyt.

Obracasz w palcach wymyślone słońce.

Jesteś czysta, jakbyś jeszcze nie nastała.

Wtedy myślę o tym, co mogło nadejść.

Zakłęty śpiew niewzruszonych kosów.

Ten smak rdzy; jakbym lizała gwoździe.

Teraz będzie wzmacniać we mnie światło.

Będzie wnosić zgłiszczą w resztkę dni.

REBELLIO CARNIS

I będziesz miała klawo. Choć może
nie do końca. Miasto cię sponiewiera, jesień
– szorstka i lepka – rozrzuci brudne liście. Bezdomni
wyruchają dziewczynkę, która nie usłuchała
bożi. Bożia ją sponiewiera i będziesz miała
(wybacz) co krok prorocstwo strachu, żywe,
uparcie żywe pod powiekami.
Robactwo w fałdach ziemi.

Nie będzie klawo i – nie ma co ukrywać –
echo kamiennych ulic, lampy nabrzmiałe
światłem poruszą wątłą pamięć, podsuną dni,
zdarzenia (daleki krewny niewidziany przez lata).
Wszystko jest prorocstwem strachu. Przyczajone,
ciche. Nad miastem lepka jesień. Kobieta, blizna
życia, albańskie papierosy, ziarna świeżej
musztardy i buda w suterenie.

Cień ostrych wież Saint-Bénigne.
Historia się powtarza. Czy tak jest
bardziej klawo? Miasto cię poniewiera.
Otwierasz – składasz pamięć, przerdzewiały
scyzoryk. Co krok prorocstwo strachu.
Echo cichych uliczek. Lampy brzemienne
w światło, kalki martwych owadów.
Historia cię powtarza.